

Seni Cup

to nasza Liga Mistrzów

WSPOMNIENIA

ALEKSANDER KNITTER

Trener drużyny Środowiskowego Domu Samopomocy w Chojnicach

Gole, radość, emocje, smutek po przegranej, przywitania po długim roku czekania – Seni Cup dla wielu zawodników był i jest prawdziwą sportową przygodą życia. Czymś, o czym mogli wcześniej tylko pomarzyć. A wielki finał w Toruniu, dla którego wszyscy trenują i walczą w eliminacjach, to prawdziwa nasza Liga Mistrzów. Wszyscy na te kilka dni byli Lewandowskimi, Messimi czy Ronaldo.



Choć nigdy nie udało nam się zdobyć tych najcenniejszych złotych medali, to nieważne, czy były srebrne, brązowe czy za udział w turnieju, zawsze wisały na naszych szyjach aż do powrotu do domu. A zdarzało się wracać pociągiem, z kilkoma przesiadkami wśród tłumu pasażerów. Medal Seni Cup był dla nas tak samo cenny jak ten olimpijski dla Kamila Stocha, bo kosztował nas tyle samo pracy, wysiłku i zaangażowania.

Siadam do pisania tego tekstu ze świadomością, że będzie to moje – trenera-wolontariusza i naszej drużyny ŚDS z Chojnic – pożegnanie z Seni Cup. Niestety. Obawiam się, że za chwilę po raz trzeci po policzku popłyną mi łzy. Bo to była przygoda mojego życia. I mam nadzieję, że moich zawodników-przyjaciół również. Piszę – przyjaciół, gdyż nigdy nie byłem pracownikiem ośrodka, a tylko, a może i aż przyjacielem. Niestety, kilkanaście miesięcy temu byliśmy ostatni raz na Seni Cup. Podczas podsumowania turnieju w Waplewie, gdy z głośników poleciało “ale to już było i nie wróci więcej, ale to już było, znikło gdzieś za nami” Maryli Rodowicz, wiedziałem, że to dotyczy również nas. Wtedy jeszcze ukryłem łzy przed chłopakami, bo mimo że jako trener żyłem każdą minutą meczu i przygotowań, że tańczyłem po wygranych meczach razem z nimi i przeżywałem porażki, to nie chciałem pokazać tego smutku. Innego niż po przegranym meczu, który po chwili zmieniał się w mobilizację do dalszego działania.

Męską decyzją o zakończeniu przygody podjęliśmy kilka tygodni po powrocie do Chojnic. Podjęliśmy ją jak zwykle razem. Jak wspaniała, zgrana drużyna. Pamiętam, jak po dwóch rozmowach chłopaki przemyśleli wszystko, przyszli i powiedzieli, że zdają sobie sprawę z tego, co powiedziałem i przyznają mi rację, że ich zdrowie jest najważniejsze i to chyba jest nasz finał. Game over. Wówczas łez nie udało się już ukryć. I u mnie i u nich. Jednak decyzja nie mogła być inna, bo każdego roku ktoś z drużyny się wykruszał ze względu na wiek lub zdrowie.

Mogliśmy być jednak dumni, że zeszliliśmy ze sceny niepokonani. Ale nie w czysto sportowym tego słowa znaczeniu, bo wynik, choć oczywiście był ważny, szedł w parze z pokorą i szacunkiem



Pacjenci są różni, z jednymi rozmawia się łatwiej, z innymi trudniej. Myślę, że rozmowy z rodzicami małych ciężko chorych pacjentów są szczególnie trudne, gdyż znajdują się oni w bardzo trudnej sytuacji, grozi im utrata często ich największej wartości w życiu.

do rywali. Nie mogło być meczu, wygranego lub przegranego, po którym nie podeszliśmy do drugiej drużyny, by podziękować i przybić “piątki”.

Nasza Liga Mistrzów

Barcelona, Chelsea, Real Madryt, PSG, Bayern Monachium z Robertem

Lewandowskim – te drużyny śledzimy w telewizji, kibicujemy najlepszym piłkarzom świata i ich podziwiamy. Jednak naszą prawdziwą Ligą Mistrzów było Seni Cup. Żeby zagrać w wielkim międzynarodowym finale w Toruniu z drużynami z całej Europy trzeba było przejść eliminacje. Tam czekały na nas



już jak co roku Nowe Miszewo, Ryjewo, Hamernia, Strzebielinek i inni. Przygotowania trwały cały rok. Regularne treningi, wylany pot, nowe zagrania, taktyka... Tej nie mogło u nas zabraknąć, bo przez te wszystkie lata szukaliśmy patentu, by wygrać z Nowym Miszewem. I choć było tak blisko, często wynik kręcił się koło remisu, to ta sztuka nam się nie udała. Ale mam nadzieję, że mistrzowie z Nowego Miszewa również miło wspominają nasze pojedynki, chociażby ten, kiedy to w bramce oprócz bramkarza stało jeszcze dwóch obrońców, by wybić wszystkie piłki.

Taktyka, treningi to jedna strona medalu Seni Cup. Druga to równie ważna część logistyczna. I tu niezastąpiona w naszej drużynie była Ania Werochowska. Mimo że wydaje się, że świat piłkarski nie do końca jest dla kobiet, to i Ania szybko pojęła zasady i reguły panujące w prawdziwej drużynie. A do tego pamiętała o wszystkim tym, o czym my często zapominaliśmy albo i nie pomyśleliśmy. To był nasz wspaniały

kierownik drużyny. Również dzięki Ani oraz szefowej ŚDS Marioli Majewskiej, która wpadła na pomysł stworzenia drużyny, czuliśmy się jak prawdziwa drużyna, bo mieliśmy stroje z numerami i własnymi nazwiskami na plecach. To było megaprzeżycie.

Najważniejsze momenty

Wiszące w moim pokoju na ścianie podziękowania od chłopaków i wywalczone wspólnie medale, zostaną ze mną na zawsze. Tak samo jak wspomnienia. A tych przez dekadę gry w Seni Cup nazbierało się trochę. W pamięci pozostał mi między innymi turniej, podczas którego rywalizując, zaprzyjaźniliśmy się z drużyną z Nakła. Przed naszym meczem okazało się bowiem, że wtedy jeszcze rywale, mają problem ze składem, gdyż nie wszyscy zawodnicy wytrzymali trzydniowe trudy gry w upale. Szybka decyzja, albo gramy również z jednym zawodnikiem mniej, by było po równo, albo dajemy im swojego chłopaka. Zwyciężyła druga opcja, zagramy mecz w równych składach i od tego czasu bardzo się przyjaźnimy!

Pierwszy awans

Pamiętam go do dziś. Jako nowicjusze pojechaliśmy do Trzcianki. Szło nam całkiem nieźle, mieliśmy sporo szczęścia jak na debutantów, w ostatnim meczu musieliśmy zremisować. Tak się stało, wynik 0:0 dawał nam upragniony awans. To wtedy chłopacy popłakali się po raz pierwszy. Z radości. Do dziś mam przed oczami Mariusza, który cały spocony, obłany wodą, wymachując zdjętą koszulką, krzyczał na całe gardło "Jedzim Torunia" Wspólne tańce na boisku, kółeczko radości. Tego nie da się zapomnieć. Wspomnień jest oczywiście

więcej, chociażby położone na sobie telefony. Nie da się i nie można wszystkiego przelać na papier. Zostają filmy, zdjęcia i wspomnienia.

Zakończę wielkim apelem do organizatorów Seni Cup. Organizujcie ten turniej do końca świata, a nawet jeden dzień dłużej. Bo to ma sens, bo warto dać szansę zawodnikom choć na chwilę poczuć się Messim, Ronaldo czy Lewandowskim. A nam trenerom i mnie, choć dostałem kiedyś od chłopaków ksywę Olo Benhaker, pozwoliliście i pozwalacie poczuć się takim małym Nawałką. I to jest wspaniałe. Dzięki. ■

Wiszące w moim pokoju na ścianie podziękowania od chłopaków i wywalczone wspólnie medale, zostaną ze mną na zawsze. Tak samo jak wspomnienia. A tych przez dekadę gry w Seni Cup nazbierało się trochę.

